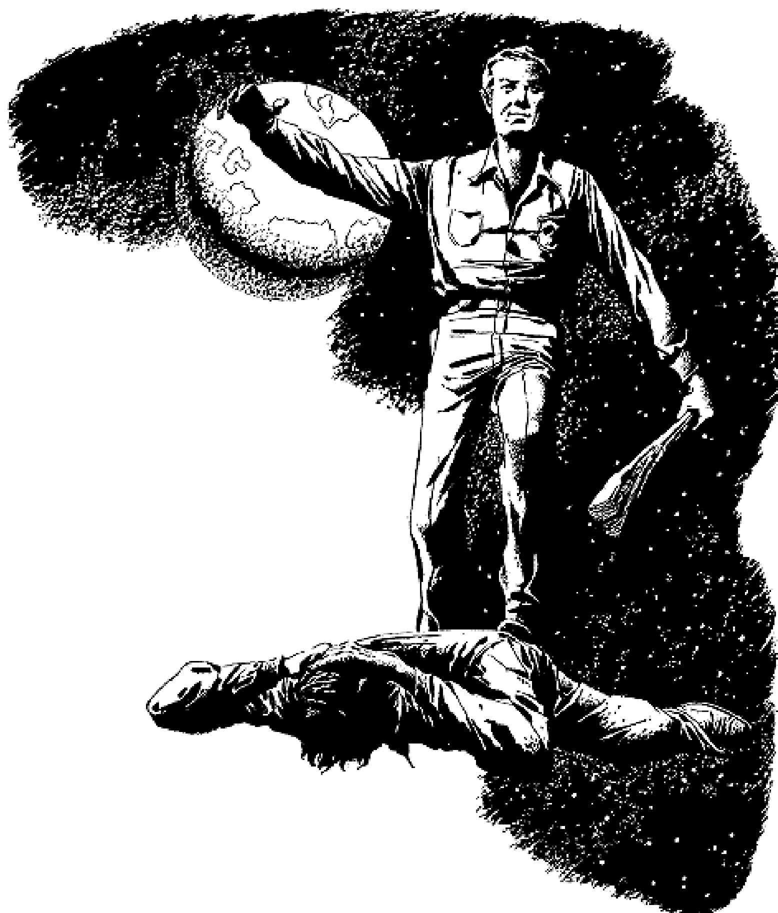
Algis Budrys

Cytadela

(Citadel)

Astounding Science Fiction, February 1955
Ilustracje: H. R. van Dongen
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Szukał odosobnienia, jakiego potrzebowała jego dziwna osobowość. I... wydawało się, że nigdy nie zdoła go osiągnąć. Wszystkie jego wysiłki stały się, w jakiś sposób, wielkimi tryumfami dla rasy i wielkimi porażkami dla niego!

I

Mocno spocony starzejący się mężczyzna, rzucał na wszystkie strony pośpieszne spojrzenia, nerwowo przyglądając się pozbawionym okien ścianom poczekalni biura. Na przemian, to siadał sztywno wyprostowany, na stojącym w rogu krześle, to wstawał i krążył niespokojnie, obracając nieustannie dookoła głową.

Kiedy Mead uścisnął mu rękę, była wilgotna od potu.

– Witam, panie Mead – przywitał się ochrypłym, wahającym się głosem, a jego oczy nie były w stanie nawet na chwilę spocząć w jednym miejscu. Niby patrzył Meadowi w twarz, ale rzucał wzrokiem to tu, to tam, a jego spojrzenie odbijało się za każdym razem od ścian, podłogi, sufitu i zamkniętych drzwi na zewnątrz.

Christopher Mead, asystent Podsekretarza Spraw Zewnętrznych, oddał uścisk, uśmiechając się zachęcająco.

– Proszę, niech pan wejdzie do mojego biura – szybko powiedział. – Tam będzie dużo bardziej przestronnie.

– Dziękuję, panu – z wdzięcznością odparł starszy człowiek i szybko przeszedł do następnego pomieszczenia. Mead pośpiesznie pootwierał okna i część nerwowości gościa, opadła z niego. Zatonął w stojącym przed biurkiem Meada fotelu dla gości, a jego oczy rozkoszowały się widoczną za oknami przestrzenią. – Dziękuję – powtórzył.

Mead usiadł za biurkiem, oparł się plecami o fotel, i czekał aż oddech mężczyzny nieco zwolni. W końcu powiedział:

– Miło mi pana znowu zobaczyć, panie Holliday. Co mogę dla pana zrobić?

Martinowi Hollidayowi udało się na dłuższą chwilę oderwać wzrok od okien. Popatrzył w twarz Meada, a potem spuścił oczy na ręce, które zbyt wyraźnie wcisnął w krocze.

– Ja… – Jego głos rozpłynął się w niezrozumiałej chrypce, i musiał zacząć jeszcze raz. – Ja, chciałbym uzyskać opcję na nową planetę – w końcu wykrztusił.

Mead skinął głową.

– Nie widzę żadnych przeciwwskazań. – Wskazał teatralnym gestem na mapę gwiezdną, pokrywającą jedną ze ścian jego biura. – Z pewnością znajdziemy ich całe mnóstwo. Ale co się stało z pańską poprzednią?

– Tam, m-m-mi…

– Panie Holliday, z pewnością nie obrażę się, jeżeli będzie pan wolał patrzeć poza okno – szybko zaproponował Mead.

– Dziękuję panu. – Po chwili zaczął jeszcze raz. – Tam mi nie wyszło – wyznał, a jego spojrzenie przeskoczyło na chwilę na Meada, zanim ponownie powędrowało gdzieś za okno.

– Nie wiem, w którym miejscu pomyliłem się w swoich rachubach. To nie to, że w ogóle mi się nie udało. Po prostu… tak bywa. Miałem nadzieję, że będę mógł sprzedać wystarczająco dużo podudziałów, aby pokryć wszystkie opłaty i ciągle zostanie wystarczająco dużo miejsca dla mnie, ale mi się nie udało.

Szybko spojrzał na Meada, z błyskiem bezpodstawnej winy w oczach.

– Przede wszystkim, byłem zmuszony sprzedać więcej niż zamierzałem, ponieważ musiałem opuścić wyjściową cenę. Ktoś inny uzyskał również opcję na inną planetę w tym samym układzie, a ja nie brałem pod uwagę konkurencji. Ponadto, nawet kiedy pokryłem już cenę opcji i wystawiłem poręczenia na płatnościach, pojawiły się różnego rodzaju wydatki. Potem nie mogłem wydzierżawić praw do surowców… – Ponownie popatrzył na Meada, tak jakby musiał się przed nim usprawiedliwić. – Nie wiem w jaki sposób ten interes nie doszedł do skutku. Ta firma, po prostu… po prostu się wycofała, zupełnie nagle.

– Czy wydaje się panu, że mogło być w tym coś szczególnego? – spytał go Mead. – To znaczy… czy ta firma mogła ubić interes z kolonistami, za niższą cenę, kiedy już pana stamtąd wypchnięto?

Holliday szybko pokręcił przecząco głową.

– Och, nie –– nic takiego. Koloniści i ja, żyliśmy razem dobrze. To nie było tak, żebym oferował na sprzedaż tylko najgorszą ziemię, albo próbował samemu się na nich wzbogacić. Przecież, kiedy musiałem sprzedać część pozostałej mi ziemi i wiedziałem, że to co ocalę, nie będzie już warte zachodu, aby tam dłużej zostawać, to niektórzy z nich oferowali się, że pożyczą mi wystarczająco ilość pieniędzy, abym mógł zachować dla siebie te pięćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych. – Uśmiechnął się ciepło, a jego oczy zrobiły się puste, kiedy skupił się na swoich wspomnieniach.

– Ale oczywiście, to było niemożliwe – mówił dalej. – Odzyskałem oryginalnie zainwestowaną przeze mnie kwotę. Ale nie mogłem im powiedzieć, dlaczego nie mogłem tam zostać. To z powodu ludzi… nawet jeżeli nigdy ich nie widywałem, wystarczyło pomyśleć o ludziach, o ich samolotach, rakietach i drogach…

– Rozumiem, panie Holliday – powiedział Mead, usiłując oszczędzić mu zakłopotania.

Holliday popatrzył na niego bezradnie.

– Przecież nie mogłem im tego powiedzieć, nieprawdaż, panie Mead? To byli dobrzy, przyjaźnie nastawieni ludzie, którzy chcieli mi pomóc. Przecież nie mogłem im powiedzieć, że to chodzi o ludzi, czyż nie?

Zwilżył suche wargi i utkwił wzrok w widoku poza oknem.

– Panie Mead, wszystko czego chcę, to połowa planety dla siebie – powiedział cichym głosem.

Pokręcił bezradnie głową.

– No dobrze, tym razem wszystko pójdzie dobrze. Tym razem, nie sprzedam tak wiele i będę miał wystarczająco dużo miejsca, by w spokoju spędzić ten czas, jaki mi pozostał, bez tego… tego… – Bezradnie machnął ręką, usiłując w ten sposób wyrazić, udręczoną świadomość swoich własnych lęków.

Mead pośpiesznie skinął głową, widząc jak rysy twarzy Hollidaya konwulsyjnie skręcają się w supeł.

– Oczywiście, panie Holliday. Przyznamy panu opcję na nową planetę, tak szybko jak tylko zdołamy to zorganizować.

– Dziękuję, panu – ponownie powiedział Holliday. – Czy moglibyśmy… czy moglibyśmy załatwić to dzisiaj? Przetransferowałem już swoje fundusze do miejscowego banku.

– Z pewnością, panie Holliday. Nie będziemy pana trzymać na Ziemi ani chwili dłużej, niż będzie to absolutnie niezbędne. – Wyjął z szuflady biurka standardowy formularz i podał go Hollidayowi do podpisu.

– Ty, razem będę mądrzejszy – stwierdził starszy człowiek, zdejmując skuwkę z pióra, tak jakby próbując przekonać samego siebie. – Tym razem wszystko ułoży się lepiej.

– Jestem pewien, że tak będzie, panie Holliday – pokrzepił go Mead.

II

Marlowe był niesamowicie otyły. Siedział za swoim biurkiem jak pozbawiony kłów lew morski, a jego obwisłe policzki przelewały się przez szczęki, zacierając linię szyi. Musiano zbudować dla niego specjalne biurko, tak by mógł wcisnąć pod nie uda. Fotel w jego biurze był dużo cięższy i szerszy, od jakichkolwiek standardowego rozmiaru, a pod kółka podłożono specjalną kompozytową wykładzinę, którą rozłożono na dywanie, ponieważ pod ciężarem Marlowe’a każda normalna tkanina podarłaby się na strzępy.

Na aparacie interkomu zamrugała żaróweczka i Marlowe automatycznie skierował wzrok na znajdujący się pod nią przełącznik.

– Sekretarka, bardzo szparka – wymamrotał pod nosem. Pstryknął przełącznikiem. – Tak, Mary? – Ze czeluści jego obwisłych piersi zahuczał potężny głos.

– Panie Sekretarzu, pan Mead własnie złożył raport w sprawie Martina Hollidaya. Czy chciałby pan go przejrzeć?

– Daj mi krótkie streszczenie, Mary.

Pod nosem zaś wyszeptał: „Streść mi te koszmary, Mary” i kiedy słuchał, na jego wargach pojawił się leciutki uśmieszek.

– Dał mu Karlshaven IV, co? – zauważył, kiedy sekretarka skończyła. – O.K. Dzięki, Mary.

Przerwał połączenie i zaczął się zastanawiać. Gdzieś w trzewiach machiny administracyjnej, jak wiedział, musiały teraz kręcić się trybiki, sporządzano różnego rodzaju notatki, wypełniano w rozmaitych biurach formularze. Należało dodać Karlshaven do listy planet objętych kolonizacją, a ceny ziemi o które prosił Holliday, były zestawiane z danymi z Emigracyjnego oraz z prospektem opracowanym na podstawie danych Generalnego Biura Badań Galaktyki.

Ponownie połączył się przez interkom.

– Hmmm… Mary? Prześlij mi kopię danych z GenBad, na temat całego układu Karlshaven. Powiedz panu Meadowi, że oczekuję na niego w moim biurze, dzisiejszego popołudnia –– wciśnij go gdzieś w terminarz –– i od razu popchniemy sprawę dalej.

– Tak, panie Sekretarzu. Czy może być piętnasta piętnaście?

– Piętnasta piętnaście jest całkowicie w porządku, ehemmm… Mary – łagodnym tonem stwierdził Marlowe.

– Tak, sir – odparła jego sekretarka, speszona. – Nadal zapominam o właściwej tytulaturze.

– Podobnie jak i ja, Mary, podobnie jak i ja – westchnął Marlowe. – Czy pojawiło się coś, co nie było na dzisiaj zaplanowane?

To było standardowe pytanie, rodzące się z próżnych nadziei. Zawsze pojawiało się coś, co rujnowało pieczołowicie ułożony rozkład dnia.

– I tak, i nie, sir.

Marlowe uniósł brew w stronę interkomu.

– No cóż, w takim razie, to musi być chyba jakaś bardzo niewielka zmiana. O co chodzi?

– Mamy pewnego obserwatora, politologa z Dovenil –– na naszych mapach to jest Moore II, sir –– który poprosił o pozwolenie na rozmowę z panem. Przyjechał do nas na normalny program wymiany, i taka prośba, oczywiście, zalicza się do jego przywilejów. Wydaje mi się, że chodzi o jakieś zwykłe sprawy –– jaka jest nasza polityka zagraniczna, w jaki sposób pan ją prowadzi, może pan mu przedstawić kilka konkretnych przykładów, i tego typu rzeczy.

Dokładnie, pomyślał sobie Marlowe. Na standardowe pytania należało udzielać standardowych odpowiedzi, a Mary była jego sekretarką już od tak długiego czasu, że mogła ich udzielić równie dobrze, jak on.

Dovenil. Moore II, co? Oczywiście w tej sytuacji musiało być coś specjalnego, skoro Mary pozostawiła tę decyzję jemu. Przejrzał w głowie pamiętane katalogi gwiazd, próbując znaleźć jakieś związki.

– Panie Sekretarzu?

Marlowe chrząknął.

– Jestem, jestem. Tylko myślę. Czy Dovenil, to nie jest ten lud, do którego właśnie wysłaliśmy Harrisona?

– Tak, sir. W ramach tego samego programu wymiany.

Marlowe zachichotał.

– No cóż, jeżeli wysłaliśmy tam *Harrisona*, to jedynym uczciwym rozwiązaniem będzie pozwolić, aby ten gość w zamian czegoś się nauczył, nieprawdaż? Jak się nazywa?

– Dalish Ud Klavan, sir.

Marlowe zamruczał sam do siebie: „Dalish ud Klavan, Irlandczyk, wołowina i kapusta". Jego umysł odłożył to na bok, razem z stereotypowym kolorowym obrazkiem zielonych łąk.

– No dobrze, Mary. Porozmawiam z nim, jeżeli znajdziesz gdzieś jakieś wolne miejsce w grafiku. Powiem ci coś, umów go na piętnastą trzydzieści. Mead i ja zmajstrujemy dla niego jakiś roboczy przykładzik. Czy to pasuje, do twojego terminarza?

– Tak, sir. Będzie na to czas, jeżeli przeniesiemy sprawę wydarzeń na Ceroii.

– Ceroii czekali sześć lat, cztery miesiące i dwadzieścia trzy dni. Mogą poczekać jeszcze jeden dzień dłużej. Niech więc tak będzie, ehemmm… Mary.

– Tak, sir.

Marlowe przerwał połączenie i zagłębił się w raporcie, który zaczął wcześniej czytać przez system stron-bloku, jego oczy niemal nie mrugały podczas przeskoków stron.

– Harrison, co? – wymamrotał w pewnej chwili, przerywając czytanie, by żartobliwym wzrokiem popatrzeć na swój pulpit. Zachichotał.

III

O piętnastej piętnaście, światełko na jego interkomie zamrugało dwa razy, i Marlowe pośpiesznie parafował prawą ręką kolejną dyrektywę, jednocześnie lewą naciskając na przełącznik.

– Tak, Mary?

– Pan Mead, sir.

– O.K. – rozłączył się wsunął dyrektywę do pudełka oznaczonego OUT, i wyciągnął dane z GenBad i teczkę Martina Hollidaya z przegródki HOLD.

– Wejdź, Chris – powiedział, kiedy Mead zapukał do drzwi.

– Jak się pan dzisiaj czuje, panie Marlowe? – spytał Mead, siadając.

– O cztery uncje cięższy – sucho odparł Marlowe. – Przypuszczam, że ty, nie. Papierosa, Chris?

Najwidoczniej, kolejne użycie imienia, w końcu przyciągnęło uwagę Meada. Przez moment zdawał się zastanawiać, a następnie wziął papierosa i zapalił go.

– Dzięki… Dave.

– No dobrze, cieszę się, że to już jest ustalone – zachichotał Marlowe, a jego oczka niemal niknęły w fałdach ciała. – A jak tam Mary?

Mead uśmiechnął się krzywo.

– *Panna Folsom* jest dzisiaj w doskonałym nastroju, dziękuję,

Pomieszczenie wypełnił huk śmiechu Marlowe'a. Mead kiedyś popełnił ten błąd, zwracając się do niej „Mary", przyjmując naturalne założenie, że jeśli Marlowe może to robić, to wszyscy inni również mogą.

– Mary, jak się obawiam – zauważył Marlowe, – żyje w dużo bardziej statecznym świecie niż dzisiejszy. Toleruje nieformalne zachowanie z mojej strony, ponieważ jestem jej bezpośrednim przełożonym, nie biorąc oczywiście pod uwagę, że najbardziej bezpośrednim jej przełożonym jest Prawo. Ale ty, Mead, jesteś tylko młodym drapichrustem.

– Ale, to jest całkowicie bez sensu! – zaprotestował Mead. – Używając jej imienia, nie miałem zamiaru okazać jej braku szacunku… to, po prostu… tylko życzliwość i sympatia, to wszystko.

– Posłuchaj – powiedział Marlowe, – to ma sens, ale nie jest logiczne… a przynajmniej nie w taki sposób jak ona rozumie te sprawy. Mary Folsom dorastała pod autorytarną władzą wielkiego, silnego, surowego ojca, który wierzył w wychowywanie dzieci zgodnie z regułami porządku. Do czasu, kiedy wyrwała się na świat, wszyscy wielcy mężczyźni stali się niekwestionowanymi autorytetami, a wszyscy młodzi mężczyźni lekkomyślnymi drapichrustami. Pewnie, że ona jest z tego powodu nieszczęśliwa, gdzieś tam w głębi duszy. Ale właśnie to, czyni ją dla mnie doskonałą sekretarką, a ona dobrze wykonuje swoją pracę. Co do małych rzeczy, gramy zgodnie z jej regułami, a co do dużych, zgodnie z regułami świata. Kapujesz?

– Pewnie, Dave, ale…

Marlowe wziął teczkę Hollidaya, i zanim ją otworzył, posłał Meadowi ciężkie, ale pełne zrozumienia spojrzenie.

– Twój problem polega na tym, że prezentowany przez ciebie punkt widzenia jest fundamentalnie zdroworozsądkowy – stwierdził. – Teraz przejdźmy do niego. Martin Holliday, opcje 062-26-8729, 063-108-1004. Nie miałem czasu, aby przeczytać dane GenBad, dotyczące planet Karlshaven, a więc prosiłbym, żebyś mnie trochę w to wprowadził.

– Tak jest, sir.

– Jak wygląda ta IV?

– Dobra, orna ziemia. W niektórych miejscach trochę górzysta, ale to dobrze. Wyładowana minerałami –– materiały przemysłowe, jak srebro. Trochę cyny, ale nie na tyle dużo, by zachwiać standardem monetarnym. Mnóstwo miedzi. Pokłady węgla, złoża ropy naftowej. Praktycznie od samego początku powinna sama się utrzymać, a za jakieś pięćdziesiąt – sześćdziesiąt lat będzie dla Unii naprawdę klejnotem.

Marlowe skinął głową.

– Dobrze. Niezły wybór, Chris. A teraz… masz już przynętę?

– Tak, sir. Karlshaven II należy do klasy Fałszywa-E. Już przygotowuję na nią sztuczną opcję, i będziemy w stanie ściąć ceny Hollidaya na jego ziemię, mniej więcej o dwadzieścia procent.

– Fałszywa-E, co? Jak liczysz, ile czasu trzeba, zanim kolonia nie będzie mogła tam już dłużej wytrzymać?

– Kolonia na solidną skalę, o dobrym wsparciu finansowym, mogłaby nawet usadowić się w tym miejscu na stałe. Ale nie uda nam się znaleźć tak wielu obiboków, no i naturalnie nie możemy dać im aż tak wysokich subsydiów. W końcu będziemy musieli ich wszystkich stamtąd powywozić –– powiedzmy po jakichś ośmiu latach. Ale to daje nam dostatecznie dużo czasu na złamanie Hollidaya.

Marlowe ponownie skinął głową.

– Brzmi nieźle.

– Jest jeszcze coś – powiedział Mead. – II jest uboga w minerały. Tak właściwie, to niemal bryła litego metalu. Przez to, prawdę mówiąc, nie nadaje się ona do życia, ale wymyśliłem sobie, że może uda nam się przerzucić zainteresowanie przedsiębiorstw surowcowych bezpośrednio na nią, i odciągnąć je z IV.

Marlowe wyszczerzył zęby z aprobatą.

– Chyba konserwowałeś to wszystko specjalnie dla Hollidaya?

– Tak, sir… – odparł Mead, powoli potakując głową. Spojrzał z wahaniem na Marlowe’a.

– Co się dzieje, chłopcze?

– No dobrze, sir… rozpoczął Mead, ale przerwał. – Nic ważnego, naprawdę.

Malowe obdarzył go zaskakującym spojrzeniem, pełnym smutku i zamyślonego zrozumienia.

– Uważasz go za starego, wystraszonego człowieka, i myślisz, że dobrze byłoby zostawić go w spokoju?

– No cóż… tak, sir.

– Dave.

– Tak, Dave.

– Masz zupełną rację. Dlaczego więc nie?

– Nie możemy, sir. Dobrze o tym wiem. Ale to wydaje się takie nie fair.

– Dokładnie, Chris. To nie jest dobre, ale to jest niezbędne.

Światełko na interkomie Marlowe’a, zamrugało jeden raz. Marlowe spojrzał na nie, z chwilowym zaskoczeniem. Potem rysy jego twarzy wygładziły się, i wymruczał „Kapusta”. Sięgnął ręką do przełącznika.

– Mamy gościa, Chris. Rób to co ja. – Kiedy dotykał przełącznika, przejrzał swoje informacje o systemie tytularnym Dovenilidów. – proszę poprosić pana ud Klavana, żeby wszedł, ehemmm… Mary.

IV

Dalish ud Klavan był niemal kalką wizerunku typowego Dovenilida, z biblioteki Marlowe’a. Ponieważ obrazki były zazwyczaj idealizowane, oznaczało to, że ud Klavan był, pomiędzy swoimi rodakami, osobnikiem powyżej średniej. Mierzył pełne osiem stóp, od ziemi, do czubka grzebienia, i jeszcze nie zaczął pogrubiać podeszew swoich butów, aby wyrównać lekkie przygarbienie, które w przypadku jego rasy cechowało przejście do wieku średniego.

Marlowe przyglądając się mu, uśmiechnął się w duchu. Żaden Dovenilid nie mógł nosić się z taka oczywistą wyższością, i być ciągle tylko skromnym studentem. No cóż, biorąc pod uwagę kwalifikacje Harrisona, nadal prawdopodobnie nie można było tego określić, jako piękne za nadobne.

Mead zaczął wstawać, i Marlowe pośpiesznie postawił nogę na wierzchu jego bliższej stopy. Asystent skrzywił się i przygryzł wargi, ale przynajmniej spokojnie siedział dalej.

– Dalish ud Klavan – Dovenilid wymówił to w poprawnym angielskim.

– David Malowe, Sekretarz Spraw Zewnętrznych, Unii Solarnej – odparł Marlowe.

Ud Klavan popatrzył wyczekująco na Meada.

– Christopher Mead, Asystent Podsekretarza Spraw Zewnętrznych – przedstawił się asystent, zorientowawszy się o co chodzi.

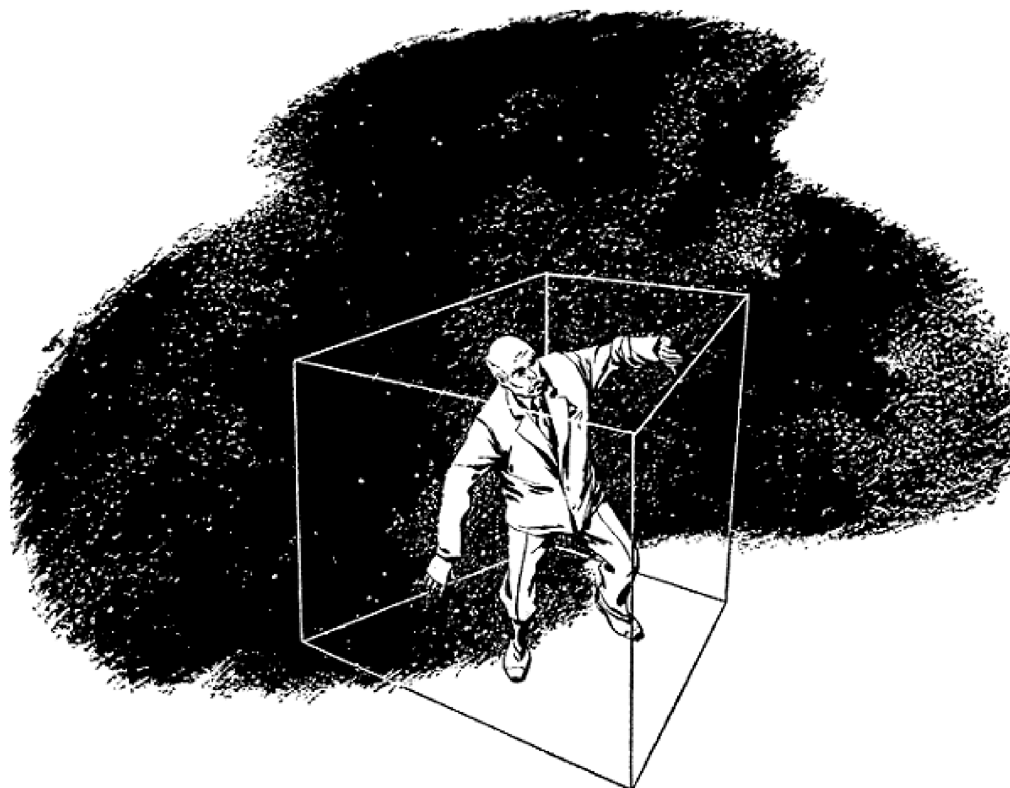
– Czy mógłby pan wyrządzić nam ten zaszczyt i pozwolić nam na powstanie – grzecznie spytał Marlowe.

– Wręcz przeciwnie, Marlowe. Gdybym to ja mógł prosić o zaszczyt pozwolenia na to aby usiąść, uważałbym to za prawdziwe wyróżnienie.

– Proszę bardzo. Panie Mead, proszę podać naszemu gościowi krzesło…

Na kilka kolejnych minut, zatopili się w formalnościach. Marlowe zachowywał się z pedantyczną poprawnością. Mead podążał za nim przez labirynt grzecznościowy Dovenilidów, najlepiej jak tylko potrafił. W końcu mogli przejść do ważniejszych spraw. Ud Klavan rozsiadł się z widoczną

wygodą, na pieczołowicie zaprojektowanym siedzeniu, które mogło być dostosowywane do nieomal wszystkich kształtów. Potężna postać Marlowe'a, wznosiła się spoza biurka, a Mead siedział, nieco nerwowo, obok niego.



– Tak więc, jak rozumiem, panie ud Klavan – zagaił Marlowe, – chciałby pan się czegoś dowiedzieć, o naszej polityce i metodach jej prowadzenia.

– To prawda, panowie. – Dovenilid wyciągnął z płaskiej saszetki, wiszącej u jego boku, bloczek z jakiegoś nieprzezroczystego materiału i rozłożył go na kolanach. – Czy mogę robić notatki?

– Proszę bardzo. No dobrze, akurat tak się przydarzyło, że pan Mead i ja, analizujemy właśnie pewien przypadek, który doskonale ilustruję naszą politykę.

Ud Klavan natychmiast nakreślił na stronie bloczka notatnika, linijkę jakichś znaczków ideograficznych, a Marlowe zaczął się zastanawiać, czy on naprawdę miał zamiar zapisywać tak dosłownie całą ich rozmowę. Wzruszył w myślach ramionami. Będzie musiał go zapytać, kiedyś w najbliższych dniach, czy czegoś nie przegapił. Pewnie mogłoby to oszczędzić nieco taśmy na nagranie, które robił on sam.

– Aby od czegoś zacząć: Jak pan wie, nasz rząd opiera się na zasadzie ekstremalnej wolności osobistej. Nie mamy żadnych arbitralnych praw, rządzących osobistą ekspresją, wyznaniem religijnym, posiadaniem broni osobistej, czy też prawem do prywatnej własności. Państwo jest skonstruowane, jako mechanizm złożony z instytucji użyteczności

publicznej, obsługiwanych przez Ciało Polityczne, a rzeczywista regulacja społeczna i narzucanie ograniczeń, osiągana jest na drodze praw socjoekonomicznych, które, oczywiście, są zarówno uniwersalne, jak i niezawodne.

– Szczycimy się wysokim statusem jednostki, w porównaniu z ledwie tolerowanym istnieniem państwa. Oczywiście, że mamy pewne nakazy i ograniczenia, dotyczące przestępstw, ale nawet one są zazwyczaj zastępowane przez działanie obywatelskie na poziomie osobistym.

Marlowe lekko nachylił się do przodu.

– Odkładając na chwilę na bok, dokładną literę prawa, panie ud Klavan, zdaje pan sobie sprawę z tego, że czasami odstajemy od ideału. Nasi obywatele, na przykład, nie noszą przez cały czas broni, poza jakimiś sytuacjami nadzwyczajnych warunków. Ale to jest raczej wynikiem zakazów społecznych, a nie ustalonego prawa konstytucyjnego. Nie mam wątpliwości, że jakieś przyszłe pokolenia, w wyniku zmian obyczajowych, mogą ożywić, dla przykładu, *code duello*.

Ud Klavan skinął potwierdzająco głową.

– W pełni zrozumiałem, dziękuję panu, Marlowe.

– Dobrze. Idźmy więc dalej. W warunkach, takich jak te, państwo i jego agendy, *nie mogą* polegać na żadnego rodzaju ustalonej polityce, i oczekiwać, że będzie ona co najmniej trwała. Ludzie nie będą tolerować takiego rozwiązania. Dlatego przy każdej nowej zmianie w obyczajach społecznych –– a instytucja jakiejkolwiek polityki, jest sama z siebie wystarczająca, by w ciągu krótkiego okresu czasu, taką zmianę wytworzyć –– kolejne polityki muszą być przez Ciało Polityczne uchylane, a w ich miejsce ustanawiane muszą być nowe.

Marlowe odchylił się do tyłu, i rozłożył ręce.

– Dlatego właśnie – stwierdził ze smutnym uśmiechem, – uczciwie można powiedzieć, że *nie mamy* żadnej polityki zagranicznej, w efektywnym tego słowa znaczeniu. Korzystamy z doraźnych środków zaradczych, panie ud Klavan, i mamy nadzieję, że skończy się jak najlepiej. Przypadek, który pan Mead i ja, obecnie rozważamy, jest tego typowym przykładem.

– Unia, jak pan wie, utrzymuje Generalny Korpus Badawczy, którego zadaniem jest sporządzanie map galaktyki, badanie takich planet, jak te stanowiące ostoje obcych ras, albo zdające się nadawać do kolonizacji przez ludzi. Taki właśnie zespół badawczy, na przykład, jako pierwszy nawiązał kontakt pomiędzy pańskim narodem i naszym. Wypracowano zasady wymiany informacji i stworzono możliwości przedstawicielom obydwu ras, do zaznajomienia się ze społeczeństwem przeciwnej strony.

– Jednakże w przypadku planet niezamieszkałych, a nadających się do życia, funkcja państwa kończy się, z chwilą wykonania kompletnych i ściśle określonych badań, złożonych w podministerstwie Emigracji. Państwo jako takie, nie sponsoruje żadnych kolonii, nie zakłada żadnych osiedli, poza kilkoma bazami przystankowymi, utrzymywanymi na potrzeby Korpusu Badawczego. Jak do tej pory, nie stwierdziliśmy żadnych potrzeb, motywujących istnienie instytucji bardziej agresywnych służb, w rodzaju armii planetarnych. Nie spodziewamy się również wystąpienia ich,

w dającej się przewidzieć przyszłości. Wojna w kosmosie, możliwa jest jedynie w bardzo nadzwyczajnych warunkach, i nie przewidujemy wystąpienia takiego wariantu.

– Cała nasza kolonizacja, prowadzona jest przez prywatnych obywateli, którzy zgłaszają się do obecnego tutaj pana Meada, po opcje na odpowiednie, a jeszcze niezajęte planety. Rola pana Meada, polega na działaniu w tych przypadkach jako konsultant. Zajmuje się on rejestrem przebadanych planet, które nadają się do zamieszkania przez ludzi, i albo przydziela planetę o którą jest proszony, albo rekomenduje jakąś odpowiadającą wyspecyfikowanym warunkom. Koszt opcji jest wystarczający duży do pokrycia wszelkich niezbędnych operacji administracyjnych, włączając w to odpowiedni zysk dla rządu, pozwalający na finansowanie dalszych badań.

– Osoba otrzymująca opcję, odsyłana jest następnie do Emigracji, która dostarcza kopii prospektu, sporządzonego na podstawie raportu Generalnego Biura Badań i reklamuje podudziały po cenach proponowanych przez nabywcę opcji. I znowu wymaga to wniesienia rozsądnej opłaty, o podobnej naturze jak nasza, poświęconej na te same cele.

– Państwo traci wtedy kompletnie jakikolwiek głos w projektowanej kolonizacji. To jest czysto prywatne przedsięwzięcie –– prosta operacja z dziedziny zarządzania nieruchomościami, jeżeli woli pan takie określenie, z państwem działającym wyłącznie jako agencja reklamowa, i od czasu do czasu jako strona wydzierżawiająca odpowiednie środki transportowe, z Ziemi na nową planetę. Koloniści, oczywiście, pozostają pod naszą ochroną, zachowując pełnię praw obywatelskich, chyba że zażądają niepodległości, która jest swobodnie przyznawana.

– Jeżeli chciałby pan się przyjrzeć, w celu dalszych wyjaśnień, zapraszamy do przejrzenia naszej kartoteki dotyczącej Martina Hollidaya, obywatela który jest dosyć typowym przedstawicielem takich operatorów zarządzających nieruchomościami, i który właśnie złożył wniosek o opcję na swoją drugą planetę. – Marlowe, z uśmiechem na ustach, rozłożył teczkę.

– Dziękuję, powinno być to mi bardzo pomocne – odparł ud Klavan, i wziął od Marlowe’a akta. Przejrzał je szybko, przerwał na chwilę aby, po zapytaniu o pozwolenie Marlowe’a, sporządzić kilka notatek, dotyczących interesujących go informacji, a następnie oddał je z powrotem.

– Niezwykle interesujące – zauważył ud Klavan. – Jednak, gdyby zechciał mnie pan nieco oświecić… Ten człowiek, Martin Holliday, czy to wszystko nie wydaje się być dla niego, nieco zbyt skromną motywacją, biorąc pod uwagę jego wiek? Nawet jeżeli może oczekiwać wysokiego zysku pieniężnego. Szczególnie w sytuacji, kiedy jego pierwsza próba, nie była może porażką, ale nie była też jakimś niesłychanym sukcesem finansowym?

Marlowe bezradnie wzruszył ramionami.

– Skłonny jestem w pełni się z panem zgodzić, panie ud Klavan, ale… – uśmiechnął się, – przyzna pan, jestem tego pewien, że kolejną motywacją

jest panująca na Ziemi nuda. Nie jesteśmy jakąś przesadnie logiczną rasą, panie ud Klavan.

– To prawda – odparł Dovenilid.

V

Marlowe wpatrywał się w sędziego, od którego nie było odwołania, w swój zegar. Na interkomie zamigotało światełko, i z roztargnieniem dotknął przełącznika.

– Tak, Mary?

– Czy będę jeszcze panu do czegoś dzisiaj potrzebna, panie Sekretarzu?

– Nie, dziękuję ci już, Mary. Dobrej nocy.

– Dobranoc, sir.

Nie było żadnego odwołania. Dzień był zakończony, i musiał iść do domu.

Rozejrzał się bezradnie po pustym biurze, a jego mózg automatycznie liczył rozbrzmiewające od czasu do czasu odgłosy kroków, urzędników i stenografistek przechodzących na chodniku pod jego lekko uchylonym oknem. W końcu, odjechał fotelem do tyłu i zmusił się do powstania. W ponurym nastroju, niespiesznie podszedł do okna i obserwował wychodzących z budynku ludzi.

Waszyngton –– podstarzały, zatłoczony Waszyngton, pocięty labiryntem wąskich ulic, noszący na swojej ponurej architekturze, piętno surowej, pozbawionej fantazji przeszłości –– ciężko oddychał pod zalewającym wszystko słońcem.

Stolicę powinno się gdzieś przenieść, pomyślał sobie, tak samo jak myślał każdego wieczora, ostatnimi czasy. Bliżej serca imperium. Gdzieś poza to zaparowane bagnisko. Poza tę królikarnię.

Jego ciężkie wargi poruszyły się w ironicznym bezgłośnym komentarzu do swoich własnych myśli. Nikt nie miał nawet zamiaru przenosić tej tradycyjnej siedziby imperium. Skoncentrowało się tutaj za wiele nostalgii, zmieszanej z wilgotnością. Nawet kiedy, pewnego dnia, Unia rozciągnie się na całą Galaktykę, ludzie nadal będą nazywali Waszyngton, to miasto położone na starej, leżącej na uboczu Ziemi, swoją stolicą. Ludzkość nie była przesadnie logiczną rasą, przynajmniej jako rasa.

Myśl o tym, że trzeba iść do domu, ponownie go uderzyła, podstępnie omijając bariery otępienia, jakie próbował wznieść. Odwrócił się więc gwałtownie od okna, poruszając się z takim zdecydowaniem, jak tylko w ogóle mógł się poruszać. Otworzył jednym szarpnięciem szufladę biurka i wypełnił kieszenie marynarki długimi pałeczkami z cukierków. Rozerwał

cienki papierek na jednej z nich i gryzł koniec, przekładając papiery do swojej aktówki.

W końcu nie był w już stanie niczego więcej wymyślić, żeby opóźnić wyjście. Wszyscy inni opuścili już budynek, który przejmowały w swoje władanie roboty. Na korytarzach odbijały się echem metalowe kroki maszyn, niosących ze sobą szczotki, a ich poruszaniem w obrębie ministerstwa, zarządzały zrobotyzowane tablice rozdzielcze. Wkrótce roboty sprzątające zaczną się krzątać także w tym konkretnym biurze. Westchnął i powoli wyszedł z gabinetu, zmierzając pustymi korytarzami, na których żadne ludzkie oko nie mogło dostrzec jego człapania.

Podszedł do swojego samochodu, i kiedy tylko otworzył drzwi, automatyczne nagranie oznajmiło: „Proszę do domu”, jego własnym głosem. Samochód poczekał, dopóki nie usiadł wygodnie w fotelu, a potem łagodnie przyśpieszył, kierując się do jego mieszkania.

Nagranie było niezbędnym, ale okrutnym środkiem, który sam sobie musiał wprowadzić. Musiał się do niego uciec, aby zwalczyć pokusę pojechania na terminal, w porcie lotniczym, albo na lądowisko rakiet czy też na stację kolejową –– *gdziekolwiek* –– zanim stanie się ona nie do zniesienia.

Samochód zatrzymał się przed światłem na przejściu dla pieszych i jakiś sportowy wóz śmignął lekko, zatrzymując się obok niego. Jego kierowca na widok Marlowe'a uniósł brew i zachichotał:

– Powiedz grubciu, w którym miejscu kończysz się ty, a zaczyna się ten Buick?

Potem światło się zmieniło, samochód wystrzelił do przodu, pozostawiając Marlowe'a skulonego w swoim siedzeniu.

Nie chciał mieć oficjalnego samochodu, i chronić się za jego numerem rejestracyjnym. Nie chciał być tchórzem. Nie chciał!

Kiedy rozrywał opakowanie kolejnej słodkiej pałeczki, palce lekko mu się trzęsły.

Marlowe zwalił się na swój fotel, trzymając ciężkim łapskiem, przyciśnięty do potężnego uda notatnik. Jego wargi coś nerwowo mamrotały, podczas gdy czubek ołówka odmierzał rytm.

– Życie w zbolałym niezadowoleniu – wymruczał. – Nie, to nie to. Gapił się na podłogę, z odległymi, nieobecnymi oczyma.

– Gorzkie niezadowolenie – szepnął. Delikatnie chrząknął, z oddechem, który nie miał siły nawet na tyle, by choćby lekko unieść ciężar jego zwalistej piersi. – Gorzkie życie. – Wykreślił trzeci wers, zastępując go nowym, i zaczął sam sobie czytać pierwsze dwie zwrotki.

„Z ludzkości jesteśmy zrodzeni
I oto nasze przeznaczenie:
Gorzkie życie w niezadowoleniu
Gdziekolwiek nas rzuci istnienie.

Przyduszeni potężnym ciężarem
Co nas ku ziemi przygina
By stawiać na nowy początek
Gdzie słabsi więdną i giną.

Uśmiechnął się lekko, zadowolony z siebie. Może ciągle nie było to doskonałe, ale zbliżał się do tego. Pisał dalej:

Budować na stosach popiołów
Ras dawno upadłych w nicości
Tak mury cytadel wznosimy
Nienasycenia i …

– Co robisz, Davidzie – spytała go żona, zaglądając mu przez ramię.

Odsuwając się, przycisnął notatnik mocno do bioder i nachylił się, jakby w instynktownym geście jego ochrony.

Ciepły, kochający, lekko docinający głos, drążył rozpoczętą kwestię.

– Czyżbyś pisał kolejny wiersz, Davidzie? Myślałam, że dałeś sobie już z tym spokój!

– To… to nic takiego, naprawdę, ehemmm… Leonoro. Nic ważnego. To tylko… pewna myśl, która chodziła mi po głowie. Chciałem jej się pozbyć.

Jego żona pochyliła się nad nim i niezgrabnie pocałowała go w policzek.

– Czemu tak się wykręcasz, ty stary wielki miśku! Założę się, że to jest coś dla mnie. Czy tak, Davidzie? Czy to jest dla mnie?

Pokręcił głową z niemal rozpaczliwym żalem.

– Ja… obawiam się, że nie, ehemmm… – Chrząknął. – To o czymś innym, Leonoro.

– Och. – Obeszła fotel dookoła, i pośpiesznym gestem potarła go leciutko po policzku, uśmiechając się z błagalnym wyrazem na twarzy. – Ale, Davidzie, chociaż mi go przeczytasz, co? Proszę, kochanie.

– No cóż, to jest… to jeszcze nie jest skończone… nie do końca.

– Jeśli nie chcesz, to nie musisz, Davidzie. To nie jest ważne. Naprawdę, nie. – Głęboko westchnęła.

Uniósł notatnik, czując zimno oddechu w ściśniętym gardle.

– No, dobrze – powiedział, wydobywające się z jego ust słowa, brzmiały ochryple. – Przeczytam ci. Ale to jeszcze nie jest skończone.

– Jeśli nie chcesz…

Zaczął pośpiesznie czytać, z oczyma utkwionymi w notatniku, głosem stłumionym do ochrypłego, spazmatycznego szeptu.

Tak mury cytadel wznosimy
Nienasycenia i niecierpliwości.

Żaden mur nie daje schronienia
Żaden dach przed bólem nie chroni
Nie spoczniemy, przeklęci
Znów nas coś do przodu goni.

Kroczymy niezliczoną…

– Davidzie, czy jesteś pewien tych ostatnich wersów? – Uśmiechnęła się przepraszająco. – Wiem, że jestem może staromodna, ale czy nie mógłbyś ich zmienić? To wydaje się takie… takie okrutne. I myślę, że mogłeś nieświadomie zapożyczyć to od kogoś innego. Jakoś prześladuje mnie takie natrętne wrażenie, że już to gdzieś kiedyś słyszałam. Czy tobie tak się nie wydaje?

– Nie wiem, kochanie. Być może masz rację co do tych ostatnich słów, ale tak naprawdę, to nie ma najmniejszego znaczenia, nieprawdaż? Nie mam zamiaru tego publikować, czy coś w tym stylu.

– Wiem, kochanie, ale pomimo wszystko…

Patrzył na nią z rozpaczą.

– Najmocniej cię przepraszam, kochanie! – powiedziała ze skruszoną miną. – Proszę, kontynuuj. Nie zwracaj uwagi na moje głupie komentarze.

– One wcale nie są głupie…

– Proszę cię, kochanie. Mów dalej.

Jego palce zacisnęły się na brzegu notatnika.

Kroczymy niezmierzoną rzeszą
Padając, krwawiąc, umierając
Nieodparci jak morza otchłanie
Jak przypływ niebiosa zalewając.

Za co ta nasza pokuta
Za jaką zbrodnię pradawną
Że ciągle musimy iść dalej
Aż czasu kresy zapadną?

Czyja ręka nas takich wykuła
Jakiż kaprys, losu bogini,
W dziele naszego stworzenia
błąd co wielkimi nas czyni

– Och, to jest dobre, kochanie! To jest naprawdę dobre! Davidzie, jestem z ciebie dumna.

– Ten ostatni komentarz coś mi brzydko pachnie – powiedział zdecydowanym głosem, – ale, w każdym razie, są jeszcze dwie kolejne zwrotki.

– *Davidzie*!

Ponuro wyrzucił z siebie osiem ostatnich linijek.

Czy kłuje nas czasem ostrze
Ironii imperiów przemian?
Czy rak niezadowolenia jest ceną
Przyszłej galaktyki Ziemian?

Leonorę, odrzucił jego zimny gniew. Ramiona zaczęły jej się trząść, i wybuchła szlochem, podtrzymując rękoma skłębioną masę opadających na twarz rozsypanych włosów.

Czy dusze nasze aż tak są spaczone?
Czy nigdy nie zaznamy wytchnienia?
Czy gwiazdy są warte szaleństwa
Wrodzonego nam niezadowolenia?

– Dobranoc, Leonoro.

VI

Na interkomie Marlowe'a zamigotała lampka.
– Dzień dobry, panie Sekretarzu.
– Dzień dobry, Mary. Co się stało?
– Harrison został deportowany z Dovenil, sir. Oskarżono go o przestępstwo pospolite. Całkiem poważne.
Brwi Marlowe'a powędrowały do góry.
– Co wie wiemy na ten temat?
– Nie za dużo, sir. Raport Harrisona jeszcze nie dotarł. Ale cała sprawa jest już w przekazach wiadomości, sir. Jeszcze nie zostaliśmy poproszeni o komentarze na ten temat, ale do Emigracji już dzwoniło kilka agencji informacyjnych, a Ministerstwo Edukacji właśnie dzwoni do nas, dopytując się, czy nie byłoby dobrze opublikować jakiegoś ogólnego stwierdzenia na temat szczegółowych instrukcji udzielanych wyjeżdżającym na wymianę studentom, uczulających ich na kwestię naruszania miejscowych zwyczajów.
Spojrzenie Marlowe'a z zadumą omiatało masę papierów, piętrzącą się na stosie w przegródce jego pudełka IN.
– Daj mi taśmę z typową wiadomością – polecił jej w końcu. – Zawieś wszystkie inne sprawy. Obecne wyjaśnienie dla wszystkich agencji informacyjnych: W tej chwili żadnych komentarzy, odpowiednie oświadczenia zostaną przedstawione jeszcze dzisiaj, o późniejszej porze, po wstępnym zbadaniu sprawy. Ministerstwo wyraża głęboki żal z powodu tego incydentu, i będzie próbować rozwiązać tę kwestię jak najszybciej i w jak najbardziej przyjaznej atmosferze, i tak dalej, i tak dalej. OK.?
– Tak, sir.
Wykręcił swoim fotelem, odwracając się twarzą do ekranu umieszczonego na bocznej ścianie, który niemal natychmiast zamigotał kolorami i pojawiły się na nim przebiegające zakłócenia. Obraz ustabilizował się i wyostrzył, a taśma z wiadomością zaczęła się przewijać.

Nagłówek: Dovenil, Sektor Trzeci, Dzień 183, 2417 GST.
Nasz reporter z Aktualności na tej małej planecie na obrzeżach Unii, nie był w stanie w dniu dzisiejszym uzyskać komentarza od żadnego z wysokich urzędników tej obcej cywilizacji, bezpośrednio związanych z poleceniem deportacji, przebywającego na wymianie studenta-obserwatora Huberta Harrisona, któremu postawiono zarzut kradzieży i napadu, popełnionych na osobie obywatela Dovenilid. Obywatel Unii, Harrison, jak do tej pory nie jest osiągalny, w celu udzielenia wyjaśnień, ale Aktualności, zaprezentują jego zdjęcia i inne tego rodzaju dane, kiedy tylko zostaną one przekazane.

Marlowe chrząknął. Żargon dziennikarski bił z każdego słowa. To ostatnie rymowane zdanie, z pewnością utkwi w głowach widzów. Chyba, że to jest tylko kolejna sztuczka reklamowa, ale gdyby zaczęli upychać je w tekście głównym samej wiadomości, mogłoby to spowodować przekazywanie Aktualnościom zbyt wielu fałszywych informacji, co prowadziłoby do zniszczenia nawet tej niewielkiej reszty reputacji, jaka im pozostała.

Dotknął przełącznika interkomu.



– Ehemmm… Mary, jaki był odzew na tę wiadomość?

– Poniżej jednego procenta, sir.

Co oznaczało, że jak do tej pory, Ciało Polityczne jeszcze nie zareagowało.

– Dziękuję ci. Czy jest jeszcze coś, co się pojawiło?

– W tej chwili nic, sir.

– Co… – Kapusta. – Co robi teraz Dalish ud Klavan?

– Mieszka w hostelu Solar, sir. Obsługa zgłaszała, że ciągle jest w swoim pokoju, i nie zarezerwował miejsca na żadnym ze środków transportu długodystansowego. Nie kontaktował się również z nami, tak więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że nadal może nie zdawać sobie sprawy, z tego co się stało.

– Ile połączeń telefonicznych wykonał wczoraj, zarówno przed przyjściem tutaj, jak i potem? I z kim rozmawiał?

– Mogę przekazać panu pełną listę, w ciągu dziesięciu minut, sir.

– Zrób to, Mary.

Rozłączył się, usiadł uderzając z plaskiem ręką o brzeg swojego biurka i ponownie go włączył.

– Mary, chcę dane z GenBadu na temat obszaru Dovenil, do głębokości dziesięciu lat sześciennych.

– Tak, sir.

– I połącz mnie proszę, z panem Meadem.

– Tak, sir.

Kiedy się rozłączył, Marlowe wciągnął wargi, przygryzając je zębami. Złapał cukierkową pałeczkę z szuflady, zerwał z niej częściowo opakowanie… i wrzucił ją z powrotem do szuflady, ponieważ zadzwonił telefon na biurku.

– Witaj, Chris.

– Witam, panie Marlowe.

– Posłuchaj, Chris… czy Holliday już opuścił Ziemię?

– Tak, sir… Tak, Dave.

– Gdzie on teraz jest?

– Na Lunie, w drodze do Karlshaven. Miał trochę szczęścia, i najzupełniej przypadkiem, udało mi się zaaranżować dla niego, podróż na statku GenBad-u, który akurat właśnie wybierał się w tamtą stronę, jeżeli mnie pan rozumie. – Mead wyszczerzył zęby.

– Sprowadź go z powrotem.

Uśmiech nieco zbladł.

– Nie mogę tego zrobić, panie Marlowe! On nie byłby w stanie tego wytrzymać. Powinien pan go widzieć, kiedy pakowałem go do promu. Napakowaliśmy go ŁatwySnem, a nawet wtedy jego podświadomość była w stanie wyczuć otaczające go grodzie, pomimo tego że spał. Te promy są naprawdę małe, i nie mają żadnych portów widokowych.

– Nic na to nie możemy poradzić. Potrzebujemy go, a ja muszę z nim przedtem porozmawiać. Osobiście.

Mead przygryzł wargę.

– Tak, sir.

– Dave.

– Tak… Dave.

VII

Dalish ud Klavan usiadł wygodnie w fotelu, naprzeciw Marlowe'a. Oparł palce jednej ręki na swoim notatniku i czekał.

– Panie ud Klavan – przyjaznym tonem rozpoczął Marlowe, – bez wątpienia zdaje pan sobie sprawę z tego, że pański odpowiednik na Dovenil został oskarżony o przestępstwo kryminalne i stamtąd deportowany.

Dovenilid skinął potwierdzająco głową.

– Bardzo niefortunny incydent. Żałuję go nie tylko osobiście, ale wręcz jestem pewien, że moi rodacy zdecydowanie woleliby, aby nigdy nie miał miejsca.

– Naturalnie. – Uśmiechnął się Marlowe. – Po prostu chciałem pana uspokoić i zapewnić, że ten incydent w żaden sposób nie będzie miał

wpływu na pański status. Badamy przypadek naszego reprezentanta i podejmiemy odpowiednie działania, ale wydaje się to całkowicie oczywiste, ze wina nie leży po stronie pańskich rodaków. Już przesłaliśmy wyrazy ubolewania i notę z przeprosinami do pańskiego rządu. Jako kolejny element zadośćuczynienia, osobiście chciałbym pana zapewnić, że będziemy starali się współpracować i ułatwić pańskie własne badania, na wszelki możliwy sposób. Jeżeli jest cokolwiek, czego chciałby się pan dowiedzieć –– nawet jeżeli w zwykłych okolicznościach, mogłoby to być uważane za informację poufną –– po prostu proszę do nas zadzwonić.

Grzebień ud Klavana poruszył się o ułamek cala, i Marlowe zachichotał w myślach. No cóż, nawet najbardziej błyskotliwemu szpiegowi można wybaczyć, że w takich warunkach przytrafi mu się zbyt otwarte okazanie zaskoczenia.

Dovenilid posłał mu ostre spojrzenie, ale Marlowe zaprezentował w odpowiedzi, pozbawioną wyrazu fasadę potężnego ciała.

Sekretarz ponownie zachichotał w myślach. Wątpił, czy ud Klavan jest w stanie przyjąć hipotezę, że Marlowe nie wiedział o tym, że on jest szpiegiem. Ale Dovenilid musi być w tym momencie bardzo zbitą z tropu istotą.

– Dziękuję panu, panie Marlowe – w końcu oznajmił. – Bardzo jestem za to panu wdzięczny, i pewien jestem, że moi rodacy zinterpretują to, jako jeszcze jedną oznakę przyjaźni Unii.

– Mam nadzieję, że tak będzie, panie ud Klavan – odparł Marlowe. Wymieniwszy te ostatnie przyjacielskie kłamstwa, przeszli do zwyczajowych formuł Dovenilidów, poprzedzających odejście.

Jak tylko obcy wyszedł od niego, Marlowe pacnął ręką przycisk interkomu.

– Ehemmm… Mary, czy są jakieś nowe wieści o Hollidayu?

– Jego prom ląduje na Idlewild za pół godziny, sir.

– W porządku, proszę złapać pana Meada. Niech spotka się ze mną przed wejściem do budynku i załatw urzędowy samochód, który zawiezie nas na lądowisko. Chciałbym też, żeby pojechał z nami ktoś z Emigracji. Zadzwoń na Idlewild, niech przygotują jakieś biurko i krzesła dla czterech osób, i mają ustawić to na dworze, na środku lądowiska. Zadzwoń też do Ministerstwa Transportu, aby upewnili się, że lądowisko będzie wolne, dopóki my nie zakończymy naszych spraw. Powołaj się na moje ministerialne prerogatywy, i żadnych wymówek ani dyskusji. Chcę ten samochód za dziesięć minut.

– Tak, proszę pana.

Głos Mary był doskonale zrównoważony, bez śladu nawet oznak, że właśnie dzieje się coś niezwykłego. Marlowe rozłączył się i wykrzywił usta.

Wziął raport GenBad na temat obszaru Dovenil, i zaczął go szybko przeglądać.

Kiedy wyszedł ze swojego gabinetu, przechodził koło baterii urzędników w zewnętrznych pomieszczeniach biura, a następnie ruszył korytarzem, uważnie trzymał wzrok utkwiony przed siebie. Sztywno spoglądał prosto w wejście do swojej osobistej windy, która w ciągu dnia obsługiwana była przez człowieka, zgodnie z przepisami wprowadzonymi Ustawę o Zatrudnieniu Ludzi, z 2302 roku. Przed wejściem do budynku spotkał się z Meadem i Bussardem, człowiekiem z Emigracji. Podając temu drugiemu rękę na powitanie, nie patrzył mu w oczy. Ruszył za nimi po chodniku, czując rozpaczliwe pragnienie ukrycia się przed wszystkimi, a następnie wszedł do samochodu, z uważnie wystudiowanym jako normalny, brakiem pośpiechu.

Siedział cały spocony, przez kilka minut gryząc cukierkową pałeczkę, zanim był w stanie cokolwiek powiedzieć. Potem, powoli, odbudowywał swoje poobijane bariery ochronne, dodając sobie pewności siebie, i udało mu się w końcu nawet spojrzeć na Bussarda, zanim zwrócił się do Meada.

– No dobrze, teraz więc – wyrwało mu się zbyt gwałtownie, zanim zdążył się powstrzymać. – Chris, tutaj jest raport GenBadu na temat obszaru Dovenil. – Czy będzie w nim coś, czego byś już nie wiedział?

– Nie wydaje mi się, sir.

– O.K., znajdź mi więc zdatną do zamieszkania planetę w pobliżu Dovenil ale nie dokładnie w ich układzie –– może być nawet na dłuższą metę Fałszywa-E. Jeżeli będzie to w ogóle możliwe, chciałbym aby była ona w układzie pozbawionym innych bogatych planet. Nie chciałbym również żadnego bogatego układu w jej pobliżu. Jeżeli nie uda ci się tego zrobić, zaaranżuj pełną wyprzedaż ewentualnych praw do wszystkich surowców mineralnych i innych zasobów, odpowiednim firmom. Chciałbym, aby ta planeta nadawała się do zamieszkania, ale aby uniemożliwić jakimkolwiek istotom, które by na niej żyły, zdobycie wystarczająco dużej ilości zasobów, na zbudowanie cywilizacji technicznej. Czy to możliwe?

Mead pokręcił przecząco głową.

– Nie wiem.

– Masz jakieś piętnaście minut, żeby się tego dowiedzieć. Będę musiał porozmawiać z Hollidayem, i kiedy powiem mu, że mam dla niego inną planetę, wszystko będzie zależeć od tego, czy uda ci się jakąś wynaleźć. Przepraszam, że zwalam to na ciebie w taki sposób, ale nie ma innego wyjścia.

Mead skinął głową.

– W porządku, panie Marlowe. Właśnie za to mi płacą.

– Dobry chłopczyk. Teraz, pan, panie ehemmm… – Królik. – Bussard. Chciałbym, żeby był pan gotów przedstawić plan kompletnej akcji reklamowej i program prospektu. Prosta, rutynowa robota, ale w czasie mniej więcej cztery razy krótszym, niż normalnie. Najtrudniejszą sprawą dla pana, będzie dostosowywanie się do strategii, jaką ustalamy Chris i ja. Niech pana sprawia wrażenie, że nie jest pan niczym zaskoczony, i proszę zachowywać się, jakby takie rzeczy zdarzały się codziennie.

– Tak, panie Marlowe.

– Dobrze.

Bussard wyglądał za zakłopotanego.

– Acha… panie Marlowe

– Tak?

– Co do tego człowieka, Harrisona. Przypuszczam, że wszystko to jest wynikiem tego, co stało się z nim na Dovenil. Jak pan myśli, czy w tym, co o nim mówili, jest jakiś cień prawdy? Czy też może była to tylko wymówka, żeby pozbyć się go z ich planety?

Marlowe popatrzył na niego zimno.

– Niech pan nie będzie durniem – parsknął.

VIII

Martin Holliday powoli wyłonił się z włazu wahadłowca i niezgrabnie zszedł po schodkach, opierając się na ramieniu jednego z ludzi, z obsługi pokładowej. Jego twarz przybrała nakrapiano szarą barwę, i nie był w stanie powstrzymać drżenia rąk. Zszedł na dół, na asfalt i stanął, wodząc głową z jednej strony na drugą, wręcz pożerając oczyma wolną przestrzeń lądowiska.

Marlowe siedział za biurkiem, które ustawione zostało na środku pustego placu, a spojrzenie Sekretarza, utkwione w Hollidayu, wyglądało na bardzo zamyślone. Bussard stał obok niego, nerwowo próbując wyglądać na niezaangażowanego w całą tę sprawę, podczas gdy Mead podszedł so promu, aby uścisnąć rękę starszego mężczyzny, przytrzymał go potem za nią, i podprowadził wprost do biurka.

Marlowe poprawił się na krześle. Biurko miało typowe rozmiary, i musiał usiąść w większej odległości od niego. W takiej pozycji, nie mógł się czuć wygodnie.

Jego grube palce powędrowały do bocznej kieszeni marynarki i oberwały opakowanie z kolejnej słodkiej pałeczki. Zaczął ją jeść, trzymając w lewej ręce, podczas gdy Mead przedstawiał mu Hollidaya.

– Jak się pan ma, panie Holliday? – przywitał się z nim Marlowe, nieco bardziej podniesionym głosem, niż sobie by tego życzył. Uścisnął rękę mężczyzny.

– Jestem… jestem zaszczycony tym, że mogę pana spotkać, panie Sekretarzu – odparł Holliday. Jego spojrzenia biegły gdzieś obok głowy Marlowe’a.

– To jest pan Bussard z Emigracji, no i oczywiście zna pan już, pana Meada. No dobrze, chyba możemy wszyscy usiąść.

Krzesło Meada stało obok miejsca Hollidaya, a Bussard siedział przy jednym z boków biurka, tak więc tylko Marlowe, w nieunikniony sposób, zasłaniał pełny widok rozciągającego się za jego plecami pustego asfaltu.

– Przede wszystkim, panie Holliday, chciałbym panu podziękować za pański powrót. Proszę mi wierzyć, naprawdę nie wystosowałbym takiej prośby, gdyby to nie była tak nagląca i ważna sprawa.

– Nic się nie stało – powiedział Holliday cichym, przepraszającym tonem. – Nie czuję urazy.

Marlowe skrzywił się lekko, ale musiał kontynuować.

– Panie Holliday, czy oglądał pan ostatnio jakieś serwisy informacyjne?

Mężczyzna z zakłopotaniem pokręcił głową.

– Nie, proszę pana. Ja… Większość czasu spałem.

– Rozumiem, panie Holliday. Tak prawdę mówiąc, to wcale się tego nie spodziewałem, zwłaszcza w obecnych okolicznościach. Sytuacja wygląda następująco: Jakiś czas temu, nasze statki badawcze, działające poza granicami Unii, zgodnie z ich zwykłymi zadaniami ekspansyjnymi, napotkały na obcą cywilizację, na planecie oznaczonej na używanych przez nas mapach, jako Moore II, zaś przez tubylców nazywanej Dovenil. To była w dużej mierze rutynowa sprawa, nie różniąca się specjalnie od innych kontaktów z obcymi, jakie mieliśmy wcześniej. Znajdowali się oni na relatywnie wysokim poziomie technologicznym, obejmującym początki lotów międzyplanetarnych, i nasze zespoły kontaktowe szybko zdołały wypracować dyplomatyczne status quo, satysfakcjonujące wzajemnie obie strony.

Przerwał na chwilę.

– Zgodnie ze zwykłą praktyką, pomiędzy obydwoma społeczeństwami, wymienieni zostali obserwatorzy, i wszystko wydawało się zmierzać w dobrą stronę.

Holliday skinął głową, ze zbolałą uprzejmością, nie dostrzegając żadnych związków ze swoją osobą. Część nerwowości zaczęła go już opuszczać, ale pełne odprężenie, przy tak wielu innych ludziach znajdujących się w jego pobliżu, było dla niego niemożliwością. Ponadto były jeszcze te miliardy zamieszkujące Ziemię, kłębiące się poza granicą asfaltu.

– Jednakże – Marlowe kontynuował wyjaśnienia, tak szybko jak mógł, – w dniu dzisiejszym, nasz przedstawiciel został deportowany, na podstawię dętego oskarżenia. Bez wątpienia, to dopiero pierwszy ruch w jakiejś bardziej skomplikowanej intrydze, skierowanej przeciwko Unii. Na czym ona polega, do tej pory jeszcze nie wiemy, ale dalsza obserwacja działań ich przedstawiciela na Ziemi, przekonała nas, że są oni inteligentnymi, bezwzględnymi istotami, żyjącymi w społeczeństwie, które mogłoby zawstydzić nawet Machiavellego. Z uporem dążą do celu i zjednoczyli się w ściśle współdziałającą grupę, powołaną do życia, jak wskazują wszelkie oznaki, głównie w celu ostatecznego zdominowania w przyszłości, całego wszechświata.

– Zna pan przecież nasze rozkochane w wolności społeczeństwo. Wie pan, że rząd Unii jest niemal bezradny i że sama Unia jest niczym więcej, niż tylko luźnym związkiem utworzonym z dużej liczby niezależnych narodów, połączonych razem w zasadzie niemal wyłącznie przez fakt, że wszyscy jesteśmy Ziemianami.

– Wobec takiego narodu, jak Dovenilidzi, jesteśmy prawie bezradni. Już kiedyś wcześniej nas wymanewrowali, pomimo naszych usilnych starań. Nie ma żadnych powodów, żeby nie mogli zrobić tego samego ponownie, kiedy tylko będą chcieli.

– Musimy, w jakiś sposób, dowiedzieć się co planują Dovenilidzi, i to jak najszybciej. Z tego właśnie powodu, usilnie pana proszę, aby zaakceptował pan naszą ofertę innej planety niż ta, na którą otrzymał pan już opcję, położonej bliżej układu Dovenilid. Jesteśmy skłonni, w tych nadzwyczajnych okolicznościach, uznać pański kredyt za wystarczający na całkowite wykupienie połowy planety, a obecny tutaj pan Bussard, zrobi wszystko co się da, dla zdobycia dla pana odpowiednich kolonistów dla tej drugiej połowy, tak szybko jak to tylko będzie możliwe. Czy pomoże nam pan, panie Holliday?

Marlowe opadł z powrotem na krzesło. Uświadomił sobie, że w lewej ręce trzyma coś lepkiego i brudnego, i popatrzył na nią, aby się zorientować, że na wpół zjedzona cukierkowa pałeczka, roztopiła mu się w dłoni. Próbował ukradkiem obetrzeć rękę, o spodnią stronę blatu biurka, ale zdawał sobie sprawę, że Bussard to zauważył, i skulił się w sobie i przeklął w myślach swoje łakomstwo.

Twarz Hollidaya skręciła się w nerwowym grymasie.

– Ja… Ja nie wiem…

– Niech pan nas źle nie zrozumie, panie Holliday – zapewnił go Marlowe. – Nie mamy zamiaru prosić pana o to, by pan dla nas szpiegował, ani nie prosimy pana o tę zamianę, w intencji założenia na tej planecie jakiegokolwiek rodzaju bazy. Po prosu chcemy mieć planetę należącą do Unii, gdzieś w pobliżu układu Dovenil. Cokolwiek by nie wymyślili Dovenilidzi, za czasów pańskiego życia, nie nabierze to jeszcze odpowiedniego rozpędu. Będzie pan mógł swobodnie, dożyć końca swoich dni, w sposób w jaki pan sobie tego zawsze życzył, a środki zabezpieczające, jakie już obmyśliliśmy, zapewnią, że w tym czasie nie będzie żadnego naruszenia pańskiej prywatnej własności. Nasze plany dotyczą następnego pokolenia, kiedy Dovenil zainicjuje swój własny program ekspansji. To właśnie wtedy będziemy potrzebować dobrze osadzonego posterunku w pobliżu ich granic.

– Tak – z wahaniem odparł Holliday. – Jestem w stanie to zrozumieć. Ale ja… Ja nie wiem – powtórzył. – Wszystko wydaje się być w porządku. I, jak pan powiedział, do końca mojego życia, nie będzie to miało znaczenia, a to znacznie więcej, niż tak naprawdę mogłem mieć nadzieję. – Popatrzył nerwowo na Meada. – A co pan o tym myśli, panie Mead? Zawsze pan był w stosunku do mnie, w porządku.

Mead rzucił szybkie spojrzenie na Marlowe’a.

– Myślę, że pan Marlowe robi to, co jest najlepsze dla Unii – w końcu powiedział. – Wiem też, że jest w pełni świadomy pańskich osobistych zainteresowań. Uważam, że to co robi, jest w obecnych okolicznościach rozsądne, i myślę że ta propozycja, którą panu zarysował, jest na tyle

odpowiednia, że nie może pan sobie pozwolić na to, by jej nie wziąć pod uwagę. Ostateczna decyzja, oczywiście należy do pana.

Holliday powoli pokiwał głową, wpatrując się w dół, w czubki butów.

– Tak, tak. Wydaje mi się, że ma pan rację, panie Mead. – Popatrzył na Marlowe'a. – Cieszę się, że będę mógł pomóc. I jestem wdzięczny za względy, jakie mi panowie okazali.

– Absolutnie, panie Holliday. To Unia jest pańską dłużniczką.

Marlowe ponownie obtarł ręce o spód blatu biurka, ale to tylko jeszcze pogorszyło sprawę, ponieważ na jego palcach pojawiło się sporo czekolady, którą usunął już wcześniej.

– Panie Mead, czy mógłby pan przekazać panu Hollidayowi, szczegóły na temat nowej planety? – oznajmił, próbując wyciągnąć chusteczkę, nie brudząc garnituru. Niemal słyszał w uszach prychnięcie Bussarda.

Holliday podpisał kontrakt na nową opcję i uścisnął dłoń Marlowe'a.

– Jeszcze raz chciałbym panu podziękować, proszę pana. Patrząc na to z mojego punktu widzenia, to jest coś za nic, przynajmniej dopóki będę żył. A z tego co mi opisywał pan Mead, to również jest bardzo miła planeta. Nawet lepsza niż Karlshaven.

– Tym niemniej jednak, panie Holliday – odparł Marlowe, – wyrządził pan Unii dużą przysługę. Uznalibyśmy za zaszczyt, gdyby wyraził pan zgodę, na wprowadzanie pańskiej planety do naszych rejestrów, pod nazwą Holliday.

Trzymał swoje spojrzenie daleko od Meada.

Oczy Martina Hollidaya rozbłysły.

– Dziękuję panu, panie Marlowe – wyszeptał ochrypłym głosem.

Marlowe nie potrafił wymyślić na to żadnej odpowiedzi. W końcu po prostu skinął głową.

– To była przyjemność, spotkać się z panem, panie Holliday. Przygotowaliśmy transport dla pana. Pański wahadłowiec startuje niemal natychmiast.

Twarz Hollidaya zaperliła się świeżymi kropelkami potu, na samą myśl, o zamykających się wokół niego po raz kolejny grodziach promu, ale udało mu się uśmiechnąć, a następnie zapytać, z wahaniem:

– Czy mógłbym… Czy mógłbym poczekać na prom tutaj na zewnątrz, proszę pana?

– Z pewnością. Zaraz to załatwię. No cóż, a więc… do widzenia, panie Holliday.

– Do widzenia, panie Marlowe. Do wiedzenia, panie Bussard. No i do widzenia, panie Mead. Chociaż nie wydaje mi się, abyśmy kiedyś się jeszcze spotkali.

– Wszystkiego najlepszego, panie Holliday – pożegnał się z nim Mead.

Marlowe wykręcał się niezdarnie na tylnim siedzeniu samochodu, bezskutecznie próbując zetrzeć długi ślad po czekoladzie, z kieszeni spodni.

No cóż, pomyślał sobie, przynajmniej uwieczniłem imię tego starego człowieka na mapach gwiezdnych, aż do czasów, kiedy Ziemianie przestaną wędrować między gwiazdami.

Przynajmniej to mu dał.

Mead popatrzył na niego.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli tyle czasu, by mógł w spokoju doczekać śmierci, co? – spytał.

Marlowe pokręcił przecząco głową.

– Pewnie od razu będziemy musieli zacząć go łamać?

Marlowe skinął potwierdzająco.

– Zajmę się tym od zaraz, sir.

Dave! Czy wszyscy muszą mnie nienawidzić? Czy nikt nie może tego zrozumieć? Nawet ty, ehemm… Zwid? Nawet ty, Mead?

IX

Przygarbiony i pomarszczony Dalish ud Klavan, siedział z pozbawioną nadziei twarzą, naprzeciwko Marlowe'a, który rozparł się za swoim biurkiem jak posiwiały niedźwiedź polarny, a rzedniejąca grzywa jego białych włosów, była rozwichrzona i sterczała na wszystkie strony.

– Panie Marlowe, mój naród się dusi – powiedział stary Dovenilid.

Marlowe spoglądał na niego w milczeniu.

– Republika Holliday podpisuje z nami traktat za traktatem, a mimo to jej obywatele najeżdżają nasze planety górnicze, przepędzając moich rodaków, okradając nas z zasobów, które musimy mieć, jeżeli mamy przetrwać.

Marlowe westchnął.

– Niczego nie mogę zrobić.

– Wielokrotnie już zwracaliśmy się do rządu Holliday – argumentował ud Klavan. – Powiedzieli nam, że napastnicy, to kryminaliści, że zrobią wszystko co w ich mocy, aby ich powstrzymać. Ciągle jednak skupują przywożone im przez najeźdźców metale.

– Muszą to robić – odparł Marlowe. – W rozsądnych odległościach nie ma żadnych dostępnych zasobów surowcowych. Jeżeli chcą aby ich cywilizacja przetrwała, *muszą* kupować je od bandytów.

– Ale oni są członkami Unii! – zaprotestował ud Klavan. – Dlaczego wy nic nie zrobicie, żeby ich powstrzymać?

– Nie możemy – ponownie odparł Marlowe. – Są członkami Unii, ale są również niezależną republiką. Nie mamy nad nimi żadnej jurysdykcji administracyjnej, a gdybyśmy taką spróbowali ustanowić, nasi właśni obywatele, na całym naszym terytorium, powstali by w proteście.

– A więc, jesteśmy skończeni. Dovenil jest martwa.

Marlowe wolno pokiwał głową.

– Bardzo mi przykro. Jeżeli będzie coś, co mógłbym zrobić, albo mogłoby zrobić Ministerstwo, to zrobimy to. Ale nie jesteśmy w stanie uratować państwa Dovenilidów.

Ud Klavan popatrzył na niego gorzko.

– Dziękuję panu – stwierdził. – Dziękuje panu za pańską wspaniałomyślną ofertę pięknego pogrzebu.

Nagle wybuchnął:

– Nie rozumiem was! Nie rozumiem was, ludzi! Dyplomatyczne kłamstwa, tak. Wybiegi w poszukiwaniu korzyści, tak! Ale to… to szaleństwo, to fanatyczne, nielogiczne poświęcenie dla państwa, w przypadku istot, które nie tolerują żadnego państwa! To… nie, tego nie jestem w stanie zrozumieć!

Marlowe popatrzył na niego, spojrzeniem brzemiennym wieloletnim doświadczeniem.

– Ud Klavan – powiedział, – ma pan zupełną rację. Jesteśmy rasą maniaków. Ale to właśnie dlatego Ziemianie rządzą galaktyką. Ponieważ nasze traktaty nie są wiążące, a nasze obietnice są bezwartościowe. Nasz rząd *nie* reprezentuje ludzi. On reprezentuje ludzi takich, jakimi byli kiedyś. Opóźnienie w procesach demokratycznych jest takie duże, że podpisany w danym dniu traktat, wypełnia obietnice z przeszłości. Ale w danym dniu Ciało Polityczne uformowało już nową opinię, która biegnie wzdłuż nowej ścieżki rozumowania, która jest kompletnie odmienna od tej z przeszłości. Obietnice Ziemianina –– wyrażone w słowach lub czynach –– są dobre *jedynie na tę chwilę, w której je czyni*. Już sekundę później, do zbioru wszystkich okoliczności, dodawane są nowe czynniki, i w jego głowie tworzy się nowa ścieżka rozumowania, po to by ponownie ulec zmianie, w kilka sekund później.

Zupełnie niespodziewanie przyszedł mu do głowy, ten klaustrofobiczny biedak, Holliday, gnany przez swoją udrękę z planety na planetę, bez chwili spoczynku –– i cywilizujący, cywilizujący, pracujący nad ekspansją ludzkości, gdziekolwiek by się nie udał. Cywilizujący z zapałem, jakiego żadna wynajęta namiastka nie byłaby w stanie z siebie wykrzesać. Popędzany swoimi własnym lękami do sprzedawania, z całym talentem agenta handlu nieruchomościami, jaki się w nim zrodził. Sprzedający aby zdobyć pieniądze, przy pomocy których chciał kupić ziemię, niezbędną mu dla jego własnego spokoju –– i zawsze zmuszany do tego, aby sprzedać odrobinę za dużo.

Ud Klavan podniósł się z krzesła.

– W tym także ma pan rację, Marlowe. Jesteście rasą maniaków, plączących się między gwiazdami. Ale wie pan co, panie Marlowe? Inne rasy wszechświata was nienawidzą.

Marlowe tytanicznym wysiłkiem wywindował się ze swojego fotela.

– Nienawidzą nas? – Przetoczył się dookoła biurka i ruszył w stronę wystraszonego Dovenilida, który wycofywał się tyłem ustępując przed nim.

– Czy wy naprawdę tego nie rozumiecie? Czy nie widzicie, że jeżeli mamy podążać przez dłuższy czas jedną ustaloną ścieżką działania ––

jeżeli mamy osiągnąć kiedykolwiek taki stan galaktyki, w którym pewnego dnia, Ziemianie będą żyli w pokoju z samymi sobą –– musimy codziennie naruszać kodeksy moralne i prawdy wiary, które jeszcze poprzedniego dnia uważaliśmy za nienaruszalne? Że musimy walczyć przeciwko wszelkim ideałom, wszelkim zasadom, jakich nauczyli nas nasi ojcowie, ponieważ nie mają one już dłużej zastosowania do naszej nowej logiki rozumowania?

Roześmiał się chrapliwie.

– *Ty* nas nienawidzisz! – Wyrzucił swoją tłustą pięść, z paznokciami wbitymi w dłoń, zatrzymując ją przez wystraszonymi oczyma obcego. – Ty biedna, słaba, uparta, bezskuteczna istoto! My samych siebie nienawidzimy!

KONIEC